

## WOLNOŚĆ DO WĄTPLIWOŚCI

Kiedy decydowałam się na wstąpienie do zgromadzenia zakonnego, słyszałam o tym, jak to ważna i odważna decyzja. Gdy przyszedł moment składania pierwszych ślubów, z różnych stron słyszałam słowa: „Oficjalnie to są śluby na rok, ale w sercu możesz już teraz składać je na całe życie”. Dopiero po wielu latach zobaczyłam, jak bardzo nieprawdziwe i krzywdzące jest to zdanie. Przecież w procesie formacji, zarówno ja, jak i zgromadzenie, w którym składałam śluby możemy zdecydować, że to nie jest odpowiednie dla mnie miejsce. Co wtedy? Co z osobą, która w sercu złożyła śluby na zawsze, bo taką wskazówkę dostała od przełożonych i formaterek?

Dziś, pomagając wielu siostram na różnych etapach formacji, przechodzę z nimi dramat tych sytuacji. Dramat związany z (jak to nazywam) brakiem wolności do wątpliwości. Chociaż doświadczałam braku tej wolności, będąc w zgromadzeniu zakonnym, tak naprawdę zaczęłam ją rozumieć i nazywać już poza nim. To spojrzenie z zewnątrz dało mi przestrzeń na zauważenie, że nie byłam odosobnionym przypadkiem i że obecne struktury w żeńskich zgromadzeniach zakonnych w Polsce są w dużej mierze przytłaczające. Zmiana wydaje mi się na ten moment konieczna z kilku powodów. Te najważniejsze to zadbanie o kolejne, zwłaszcza młode osoby, które wpadają w sieć manipulacji i nie mają narzędzi, żeby się przed nią bronić, oraz przywrócenie życiu konsekrowanemu jego życiodajnego charakteru.

Pozwólcie, że posłużę się kilkoma historiami, żeby zobrazować, jak duchowa narracja może skutecznie tą wolność do wątpliwości odebrać.

Jedna z sióstr, mierząc się ze swoimi wątpliwościami, opowiadała mi: „Od momentu wstąpienia do zakonu słyszałam, jakie to ważne i niezwykle, że Bóg wybrał właśnie mnie. Tak, to było piękne doświadczenie. Czułam się jak Kopciuszek, wybrany przez wspaniałego księcia. Przecież niczym sobie na to nie zasłużyłam. Ale gdzie w takim razie jest miejsce na moje wątpliwości? Jak mam zadać sobie pytanie, czy ja tego chcę? Jak dyskutować z tak niezwykłą łaską? Czułam się jakbym odrzucała wielki dar”. Ta siostra odeszła ze zgromadzenia 10 lat po ślubach wieczystych. Nie miała siły już dłużej siebie oszukiwać. W jej życiu zaczęło pojawiać się coraz więcej relacji z mężczyznami, z którymi chciała stworzyć związek. Zobaczyła, że tak było od początku, ale dusiła to w sobie w imię „wielkiego wybrania”. Odchodząc, usłyszała od jednej z przełożonych, że zdradza Jezusa. W tym czasie ona sama czuła się jak zdrajca za każdym razem, gdy pojawiała się nowa damsko-męska relacja. Dwa lata trwał jej proces pojednania się z Bogiem. Proces, w którym doświadczała, że On jej nie odrzuca ani nie spisuje na straty tylko dlatego, że nie jest już zakonnicą.

Inna z sióstr zadzwoniła do mnie 3 miesiące po złożeniu ślubów wieczystych. Powiedziała, że nie wie, co ma teraz robić. „Przez 9 lat procesu formacji wiedziałam, jak mam się zachowywać i co robić, żeby zostać dopuszczona do złożenia ślubów” – opowiadała. „Wiedziałam, czego mi nie wolno, jeśli nie chcę zostać wyrzucona ze zgromadzenia. Tak bardzo w to weszłam, że zapomniałam, kim jestem. Teraz czuję, że w końcu mogę być sobą, ale już nie wiem, kim jestem”. To są jej słowa.

Kiedy słucham tej i innych historii, zastanawiam się, co poszło nie tak. Czemu obecnie w zakonach, tak bardzo boimy się pytań, wątpliwości, poszukiwań czy rozeznawania? Czemu

moment odejścia traktujemy jak porażkę, zarówno danej osoby, jak i zgromadzenia, z którego odchodzi?

Kiedy sama byłam w procesie rozeznawania, chciałam przyjrzeć się sobie, pewnej nowej intuicji, która się we mnie rodziła. Kiedy poszłam z tym do przełożonych, usłyszałam, że jedynym wyjściem dla mnie jest ekskluzywność, czyli czasowy pobyt poza zgromadzeniem. Moje ówczesne zgromadzenie nie miało mi nic do zaproponowania, kiedy mierzyłam się z różnymi wątpliwościami, a nie były to wątpliwości co do mojej konsekracji. Po prostu chciałam dać sobie przestrzeń na słuchanie i szukanie Ducha Świętego, a spotkałam się z tym, że jestem problemem, którego warto jak najszybciej się pozbyć.

Był to dla mnie trudny, ale też piękny czas. Czas, w którym wchodziłam na drogę szukania. W którym chciałam dać sobie prawo do wątpliwości, pytań i nie zawsze oczywistych odpowiedzi. Nazwałam ten proces drogą i wyruszyłam.

Na szczęście na tej drodze spotkałam ludzi i wspólnotę, w której usłyszałam, że szukanie jest dobre. Zobaczyłam, z jaką wrażliwością można traktować zmianę placówki czy inne zmiany dotyczące danej osoby. To dało mi nadzieję i siłę do szukania, nawet jeśli to szukanie wiązało się z odejściem ze zgromadzenia, w którym ówczesnie byłam i które kochałam całym sercem.

Pamiętam też słowa pewnego księdza. Słowa te padły w czasie jednej z uroczystości składania ślubów przez mniszkę. Była to siostra, która do tego zakonu przeszła z innego. Wtedy ten kapłan powiedział: „Usłyszałaś wezwanie do Nazaretu i poszłaś. Teraz zawołał cię św. Dominik i idziesz. Jeśli usłyszysz jeszcze inne wołanie – nie bój się wyjść”.

Ale czy wolność do wątpliwości zawsze musi się wiązać z odejściem, przejściem, zmianą jakiejś drogi? A może jest zupełnie odwrotnie? Kiedy w naszych wspólnotach znajdziemy przestrzeń na pytania i wątpliwości, będzie to przestrzeń do tak potrzebnych zmian. Może mierząc się z wątpliwościami, zobaczymy, że wpadliśmy w jakieś niezdrowe koleiny i warto temu zaradzić. Może taka wolność szukania rozszerzy nasze serca. Może właśnie ona zaowocuje zmianą, która będzie pozwalała zostać, osobom, które myślą o odejściu. Może będzie niezbędnym „przewietrzeniem”, które pozwoli nam przestać dusić się w dotychczasowych, nie zawsze zdrowych strukturach. Może da nam możliwość dostrzeżenia tych niezdrowych struktur.

Kiedy uczniowie pytali Jezusa, gdzie mieszka, ten im odpowiedział: „Chodźcie, a zobaczycie” (J 1, 39). Chrześcijaństwo jest drogą, a droga zakłada ciągły ruch, ciągłą zmianę. Ta zmiana (zmiana miejsca, tempa wędrówki itp.) rodzi niepewność. Nigdy nie wiemy, co nas czeka za zakrętem, nie wiemy, jak się na to przygotować. Najprostsze wydają się dwa sposoby. Możemy z otwartością przyjąć to, co nas spotyka, i szukać w tym tego, co możemy przyjąć stosownie do naszych potrzeb. Możemy też z lękiem i obawą bronić się, żeby to nieznanne nie zmieniło naszej tożsamości. A może warto na każdą zmianę reagować odpowiednio do tego, w jaki sposób się wydarza? Wydaje mi się, że wymaga to dużej dojrzałości i niestandardowych zachowań. Może właśnie na to możemy się przygotowywać w procesie formacji, modlitwy, dojrzewania w wierze.

Jakiś czas temu zauważyłam u mojego przyjaciela bardzo ciekawy sposób na życie. Nazwałam go sobie hasłem „Co mnie dziś zaprasza?”. On to robi nawet w drobnych

rzeczach. Na przykład kiedy pytam go, co by zjadł, otwiera lodówkę i zastanawia się, co go zaprasza. Może brzmi to śmiesznie, ale ja tego sposobu zaczęłam próbować w poważniejszych sytuacjach. Kiedy stoję przed jakimś wyborem, kiedy muszę podjąć jakąś decyzję, zastanawiam się, co mnie dziś zaprasza. Za tym hasłem kryje się szukanie swoich intuicji, natchnień, słuchanie Boga na modlitwie. Różnica jest taka, że nie pytam się siebie, co powinnam, co wypada, co muszę zrobić, ale co mnie zaprasza. Bóg od pierwszych chwil, kiedy Go poznałam, zaprosił mnie do relacji z Nim. To daje mi ogromną wolność. W tej wolności nie boję się szukać, pytać i mieć wątpliwości. Wierzę, że wtedy jestem w drodze. Idę z Nim, każdego dnia na nowo pytając: „Do czego mnie dziś, Boże, zapraszasz?”.